

Andrzej Walter

Lektura obowiązkowa

*Bo pisarz głównie opowiada siebie (...)
siebie chciałby utrwalić (...)*

Parę sekund z (tych) waszych dni chyba ocaliłem. Przeze mnie i (może) tylko dla mnie ocalonych. Bo lepiej i pełniej, a czasem mądrzej się rzeczy i sprawy widzi, niż się opisuje. Widzenie jest czystsze. Pisanie obciążone jest nami, cieniem naszej ręki, zanim zapisze się myśl, upływają wieki pełne zaułków, wątpliwości, słabości, pustoty i ułudy pisarskiej.

To książka w swej prostocie genialna. Naszkicowana zręcznym i lekkim piórem poety, prozaicznie stworzonym z polotu i rozmachu. To książka degustacyjna, książka wytrawna, książka ewidentnie uszyta dla konesera i dla pewnego rodzaju nostalgika, który rozrzewnia się nad literacko ubarwionym życiem bohemy artystycznej PRL-u, w jego być może odrealnionej postaci, acz przyznać należy: jakże dalece ponętnej i fascynującej...

Jeśli więc też jesteś, czy chciałbyś nawet być: pisarzem, poetą czy prozaikiem, słowem nieszczęśliwym, literaturą (znak czasów) perfidnie skażonym i naznaczonym, jeśli jesteś wyznawcą słowa i słów znaczenia, obrońcą treści i metaforyki, i kultuwujesz tę miłość: jedyną, wieczną i niepowtarzalną, do innych miłości niepodobną, musisz tę książkę przeczytać. Obiecuję ci niewiele: czasu nie zmarnujesz, ubawisz się przy niej setnie i wkroczysz w ten inny (niemal mityczny już dziś) świat i zaułki, których już nie ma i już nigdy nie będzie, w czasy, które z pewnością nie wrócą, w czasy, których urok i zmysłowość nie tylko opisał, ale i... ocalił właśnie swoim: kunstem pióra, brawurą szczerości i odwagą relacji wyjątkowy poeta z czasów zaginionych – **Roman Śliwonik**.

Ten sam słynny Roman, który, jak mawia anegdota poliszynela, lubił rozpoczynać „dobry dzień” od przyłożenia komuś porządnie w zęby tak, aby mógł dokładnie stan uzębienia przeliczyć, bo wtedy tylko nabierał on dlań sensu i kolorytu, właściwych barw do sycenia się pełni życia literackiego, ech, co to były za czasy, czarodziejka gorzałka tańczyła w tym gąszczu twórczych emocji, ech... żartowałem... ale czy na pewno? Czy nie patrzę na ten subiektywno-idylliczny obrazek z podziwem, z żalem i z (być może patologiczną i równie nieuleczalną) nostalgią, że to wszystko przemija, kończy się, upada?

I być może wypada tu nieśmiało zaczerpnąć z wieszczu Adama:

*Polay się łzy me czyste, rześiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męski, wiek kłęski;
Polay się łzy me czyste, rześiste!*

Chyba podświadomie zazdrościć Romanowi Śliwonikowi tego czasu, przeżytych dni, szaleństwa życia artystycznego i życia bohemy pióra pomimo pewnej przewrotnej upiorności czasów, ograniczania wolności, smaku socjalizmu (z ludzką twarzą), który sączył się gdzieś bardzo, bardzo daleko i niewinnie w tle, a w zasadzie go nie było, choć przecież jego cień być musiał i niejednokrotnie boleśnie o sobie przypominał. Natura ludzka i pamięć wypierają jednak rzeczy złe, wspominają te dobre, piękne i szlachetne, koloryzują, mitologizują – i dobrze, pamiętamy pozytywnie, piękniejszamy, cieszymy się i oszukujemy się. Na tym przecież polega szaleństwo dobrego życia. Ocalimy dobroć i poezję – te dwie, spełnić to wzniosłe i szlachetne marzenie Norwida, a całą Resztę przekazać legendzie.

Ta książka powinna być dla młodego literata czymś w rodzaju biblii istnienia z racjonalnie historycznym tłem, od której powinien rozpoczynać swoją edukację wchodzenia w świat literatury i pewien towarzyski sznyt, właściwy literatom aspekt tegoż literackiego życia, świata dziś zredukowanego często do erzatzu, do namiastki, do nieudolnego naśladowstwa usiłującego na wpół odtworzyć to, co jest nieodtworzalne, a tak perfekcyjnie uchwycone, ujęte i jak na talerzu podane, słowem: opisane przez mistrza Romana, Romana Śliwonika. O kim to pisał mistrz Roman w wierszu:

Wariaci

*Wariaci gonią białe ptaki
krzycząc że są niebieskie*

*kiedy są łagodni
podają serce w ciastku w liściu w słomce*

*wariaci są
okrągli*

*tylko czasem wybuchają na tysiąc części
i w przerażeniu czekają na powrót*

Panie i Panowie – *chapeau bas* – kapelusze z głów... mój Boże, jak to jest opisane (myślę o książce „Portrety z bufetem w tle”). Ja, skromny naśladowca, piszący te słowa już z perspektywy człowieka, który przez ponad dekadę zdążył nieco poznać i popodglądać współczesny świat literacki muszę przyznać, że lektura Śliwonika licznymi momentami doprowadzała mnie do nieopanowanego paroksyzmu rozbawienia, które rodziło się z najczystszeo i najszczerzego pojmowania: sytuacji, ludzi czy przemysłów (toku rozumowania) autora. Humor Śliwonika to jednak humor nie dla wszystkich, to humor wyrafinowany, nieoczywisty, humor z pogranicza

smaków, znam bowiem w dzisiejszym świecie pewne egzaltowane damy, które z kolegami literatami namaściliśmy jakże szlachetnym mianem *poetessy*, które z pewnością byłyby szczerze oburzone taką lekturą (...) ach jakże to tak deprawować młodzież, ech, kochane Panie – więcej luzu. Pawlikowska-Jasnorzewska zrozumie, choć i... zresztą... wiele się od niej musicie jeszcze nauczyć. Mrugam wyraźnie kaprawym okiem (zbrodniomyśliciela). Proszę o dystans i nie odnoszenie tych słów do siebie. Wszystkie panie proszę...

(Tutaj mała dygresja: Kochane Panie, drogie damy, szanowna płci piękna, ja wiem, że dla wielu z Was poezja, to między innymi takie oto słowa:

*poszłam w masce zwinięta w pelerynę ciemną
z oczami zwężonymi
w migocące sierpy
szczęście mnie nie poznało
i tańczyło ze mną
nie wiedząc że to jestem
ja której nie cierpi
i los też mnie nie poznał
i pomyślał sobie
czemuż nie mam dogodzić
tej obcej osobie*

ale zapewniam Was, że istnieje niebagatelny, ważny i doniosły świat innej, bardzo istotnej i śmiem twierdzić bardziej intelektualnie wyrafinowanej poezji, świat poezji jako świadectwa języka, czasów i natury duszy ludzkiej dotykający głębiej i pełniej ciężar naszej przemijalności i egzystencji niż kobiece westchnienia – i piszę to naprawdę nie negując potrzeby i znaczenia tych kobiecych egzaltacji, one przecież są potrzebne i też są jak najbardziej poezją, ale trzeba szanować, cenić i widzieć obydwa te aspekty wagi słów równoznacznie i mądrze...)

Aj, aj tam – zostawmy już samym sobie poetessy, stewardessy i hostessy, świat i tak przecież jest dziś (pełnokrwistą, narowistą) kobietą...

„Portrety z bufetem w tle” to książka dystansu: do siebie, do świata, do ówczesnej rzeczywistości, do życia. To lekko snująca się opowieść o ludziach, atmosferze literackiej, relacjach międzyludzkich, o nadziejach, słowach, o uczuciach i emocjach, o prawdzie życia i bycia w świecie, do którego wstęp miało tylko grono wybrańców losu i artystycznej twórczości. Roman Śliwonik urodził się 28 sierpnia 1930 roku w Puszczy Mariańskiej koło Skierniewic, zmarł 22 września 2012 roku w Warszawie. Debiut zawodowy Romana Śliwonika to reportaż „Z Mławy” w „Trybunie Mazowieckiej” w 1952 roku.

(Dokończenie na stronie 4)